

Anna Burzyńska

Uniwersytet Jagielloński

 <http://orcid.org/0000-0002-8017-5382>

## Ślady człowieka piszącego

O *Pismach ostatnich*

Henryka Markiewicza

### Abstract

#### Traces of the Man of Letters. On Henryk Markiewicz's *Pisma ostatnie*

The article is both a review of the book by Henryk Markiewicz and a presentation of the writer's figure which transpires from its content – a figure of an incredibly reliable and knowledgeable researcher of literature, a seasoned polemicist, and a keen observer of the most recent changes in literary studies.

**Słowa kluczowe:** Henryk Markiewicz, teoria literatury, podmiot piszący, interpretacja, polemika

**Keywords:** Henryk Markiewicz, literary theory, writing subject, interpretation, polemics

Podczas lektury książki *Pisma ostatnie*<sup>1</sup> Henryka Markiewicza raz po raz nawiedzało mnie skojarzenie z jednym z piękniejszych tekstów Rolanda Barthes'a, za jaki uważam *Nocną podróżniczkę*, czyli jego przedmowę do *Żywota Rancégo* François-René Chateaubrianda<sup>2</sup>. Pierwszy i dość oczywisty

---

<sup>1</sup> H. Markiewicz, *Pisma ostatnie*, wyb. i wstęp T. Walas, oprac. J. Błach, Kraków 2020. Cytaty z tego wydania lokalizuję bezpośrednio w tekście, podając w nawiasie numer strony.

<sup>2</sup> R. Barthes, *Nocna podróżniczka. Przedmowa do „Żywota Rancégo” F.R. Chateaubrianda*, przeł. M. Piwińska, „Teksty” 1979, nr 1.

powód tego skojarzenia był taki, że ów spisany przez autora *Szkicu o literaturze angielskiej* żywot trapisty z czasów Ludwika XIV był także jego ostatnim dziełem, więc przez cały czas zastanawiałam się, co kryje się w tej definitywności. Na pewno pisma ostatnie czyta się inaczej, myśląc jednocześnie o tym, jak ów piszący podmiot zapełniał kończący się nieubłagane czas. I zwykle odkrywamy, że nie ma tu jakiejś radykalnej różnicy w stosunku do tego, co było wcześniej: pracowity finał równie pracowitego żywota, choć niewątpliwie naznaczony już nadchodzeniem „krajiny głębokiej ciszy”<sup>3</sup>, której zapowiedź niesie ze sobą nieubłagana „nocna podróżniczka”, jak poetycko określił to Barthes.

Chociaż od śmierci Profesora Henryka Markiewicza upłynęło już ponad siedem lat, to przecież ciągle nie sposób pogodzić się z tą stratą. Może najbardziej dlatego, że do samego końca i pomimo ukończonych ponad dziewięćdziesięciu lat zachowywał niebywałą żywość umysłu, zarażał nas wszystkich swoją pasją badawczą, polemiczną energią i otwartością na nowości, a więc uosabiał wszystko to, co nie kojarzy się z późną starością, lecz z młodością. I co – bez względu na wiek – daje poczucie niesprawiedliwie i zawsze za wcześnie przerwane go życia. Markiewicz wykazywał się także – do samego końca – nieprzeciętną płodnością pisarską, którą przewyższał wielu nawet najbardziej aktywnych młodszych badaczy. W ostatnich dziesięciu latach życia – jak precyzyjnie wypunktowała we *Wstępie* do książki Teresa Walas, wybitna znawczyni jego dorobku, a zarazem autorka niniejszego wyboru jego tekstów – opublikował dwanaście książek, kilka artykułów problemowych, kilkadziesiąt polemik i komentarzy, opracował kolejny tom *Sztuki interpretacji*, drugi tom *Skrzydlatych słów*, zebrał antologię cytatów i zabaw literackich uczonych, przygotował do druku dzienniki Zygmunta Blumenfelda. Słowem – dokonał więcej, niż wielu innych robi przez całe swoje życie. Ponadto – inaczej niż liczni niemłodzi uczeni, okopujący się na zawczasu utrwalonych pozycjach – bacznie obserwował to, co najbardziej aktualne w dyscyplinie i nieprzerwanie trzymając rękę na pulsie, z godną podziwu kompetencją włączał się w najgorętsze spory i dyskusje. Miał też jeszcze jedną niezwykle piękną cechę – chociaż nie ukrywał nigdy, że nie przepadał za ekstrawagancjami najnowszej wiedzy o literaturze: poststrukturalizmem, dekonstrukcją, postmodernizmem i tymi wszystkimi „nowomodnymi bzdurami”, jak pogardliwie określało je wielu tradycyjnie nastawionych badaczy – to jednak w jego ustach nigdy nie dało się wyczuć pogardy. Wprost przeciwnie, z właściwą sobie dociekliwością chciał jak najlepiej poznać to, co było mu obce, i jeśli wyrażał wobec tego swój sceptycyzm albo nawet sprzeciw, to nie na podstawie obiegowych komunałów czy utrwalonych stereotypów, lecz rzetelnej wiedzy. Wolał raczej uczciwie przedstawić i skomentować poglądy innych, niż nonszalancko je zdyskredytować. Do samego końca pragnął też się kształcić i rozwijać, choć

---

<sup>3</sup> *Ibidem*, s. 172.

przecież nie było większego od niego erudyty. W ostatnim e-mailu, który nadal troskliwie przechowuję, prosił mnie na przykład o wyjaśnienie jakiejś zażyłości w koncepcji twórcy dekonstrukcji Jacques'a Derridy... Wielki autorytet, wybitny uczony i człowiek nieprzeciętnej wiedzy, przed którym chyliłam czoła, z pełną pokorą chciał się nauczyć czegoś ode mnie.

Wspomniane skojarzenie z *Nocną podróżniczką* związane było też z czymś znacznie głębszym, co już na pierwszy rzut oka dawało się zauważyć w tekście Barthes'a. Czytając mianowicie *Żywoł Rancégo*, szukał on w nim nie tyle śladów bohatera tej opowieści, ile śladów Chateaubrianda. Jemu to właśnie starał się w swojej lekturze przywrócić obecność, rzecz można – „odzyskać go” z nikłych tropów pozostawionych na papierze, w książce poświęconej komuś innemu. Nie była to zresztą kwestia zarysowująca się jedynie w *Nocnej podróżniczce*. Barthes patronował mojej lekturze *Pism ostatnich* Markiewicza również dlatego, że owo pragnienie przywrócenia obecności piszącego podmiotu – który tyleż umiera w swoim pisaniu (nieuchronnie sprowadzony do rzędków drobnych czarnych znaczków na papierze), co jednocześnie przedłuża w nim własny żywot – stało się niemal obsesją autora *Imperium znaków*. Prawie przez całe swoje pisarskie życie uporczywie drażył dylemat: jeżeli łatwo jest wrócić życie myśli piszącego podmiotu, to co zrobić z jego – mówiąc tym razem po Steinerowsku – „rzeczywistą obecnością”, najbardziej wszak podatną na zniknięcie? Dla Barthes'a problem ten dotyczył przede wszystkim cielesności i całej sfery afektywnej, migotliwie opalizującej w akcji pisania, lecz będącej niemal nie do odzyskania w lekturze i towarzyszącym jej komentarzu, o czym równie pięknie opowiadał między innymi w jednej z najważniejszych swoich książek *Sade, Fourier, Loyola*.

Owa trudność przywrócenia obecności piszącego w komentowaniu jego pism staje się jeszcze bardziej dotkliwa, jeśli nie ma się do niego stosunku neutralnego. Jeżeli był kimś – z wielu powodów – bardzo bliskim. Okazuje się tym bardziej dojmująca – jeśli czyta się to, co wyszło spod jego pióra jako definitywnie ostatnie. Zawarta w tytule ostateczność budziła w trakcie lektury moje głębokie wzruszenie, nostalgię i smutek. A zarazem – wywoływała raz po raz owo Barthes'owskie pragnienie odzyskania obecności autora książki. Obecności przejawiającej się nie tyle w sferze intelektualnej – koncepcji, postaw czy poglądów – które, jako się rzekło, daje się bez większego trudu odtworzyć i które w mniejszym lub większym stopniu są znane, ile tego, co określiłabym po prostu „Jego Osobą”: ulotnych śladów spojrzeń, wyrazów twarzy, ciepła lub chłodu, poczucia humoru, przymrużeń oka, ironii, a nawet sarkazmów, a także wszelkich możliwych afektywnych poruszeń: zachwytów, zadziwień, dezaprobaty albo irytacji. Wszystkiego tego więc, co być może najlepiej wyraża, otwierająca tę niezwykłą książkę i warta zapewne więcej niż tysiąc słów, piękna fotografia Profesora. Czytając *Pisma ostatnie* Markiewicza, szukałam w nich Markiewicza „żywego” i w tym miejscu pragnę wyrazić głęboką wdzięczność Teresie Walas, która znajdujące się w tej książce teksty

wybrała i pogrupowała. Od razu bowiem dało się odczuć, że dokonała tego osoba, której nie był on obojętny, która (podobnie jak ja) nie tylko go bardzo dobrze znała, ceniła i szanowała, ale zwyczajnie po ludzku – lubiła. Wszystkim, którzy do Profesora Markiewicza mieli stosunek emocjonalny, książka ta przynosi bez wątpienia możliwość autentycznego dialogu z kimś, komu był on równie drogi, oferuje możliwość wspólnego powspominania, rozmowy w grupie osób nadających na tej samej fali. Tym, którzy go osobiście nie znali i dla których był odległym, choć nie mniej podziwianym autorytetem, oferuje natomiast sposobność nawiązania znacznie bliższej relacji. Bo nie powstała książka ważna jedynie pod względem merytorycznym czy archiwistyczno-histerycznym – choć oczywiście tych zalet również nie sposób jej odmówić – ale książka przywracająca obecność Osobie Henryka Markiewicza i traktująca jego Osobę z prawdziwą czułością – według modnego obecnie określenia. Teresa Walas – wykonawczyni tego testamentu Markiewicza – zafundowała nam prawdziwie czułą opowieść o ostatnich latach jego pracowitego życia. Opowieść nie tylko o rasowym racjonalistcie, lecz także o człowieku i uczonym głęboko emocjonalnym – wrażliwym i nieobojętnym na to, co wywoływało jego dezaprobatę, wyrażającym szczerą radość z tego, co go zachwycało, i autentycznie zaangażowanym w to, co aktualnie ważne. Opowieść ta ukazuje ostatnie akty historii człowieka, dla którego czytanie i badanie literatury, a także pisanie o niej nie były nigdy jedynie bardzo sprawnie, a nawet perfekcyjnie wykonywanym zadaniem, ale czynnościami, które obdarzał prawdziwą pasją i miłością.

Dlatego szczególnie interesujące wydają się w tym tomie części opatrzone tytułami od razu wprowadzającymi w sam środek afektywnej sfery osobowości Markiewicza: *Moje zdziwienia*, *Spory dawne i nowe* oraz *Irytacje* – one bowiem najlepiej charakteryzują tę osobowość. „Zdziwienia” zadziwiają czytelnika *Pism ostatnich* przede wszystkim dlatego, że można byłoby przypuszczać, iż badacza tak dojrzałego, doświadczonego i wytrawnego niewiele już może zaskoczyć, a jednak szkice zamieszczone w tej części pokazują jego kolejną ważną cechę, którą zresztą charakteryzował się przez całe życie. To mianowicie, że nigdy, a pod koniec życia może nawet bardziej, nie dawał się opanować schematom, nie zastępował w oczywistościach, nie przyjmował rozmaitych ocen i opinii tylko na wiarę, oraz że – jak sugeruje tytuł ostatniego artykułu z tego cyklu (*I zdziwienia, i niepewność*) – potrafił się też przyznać do ułomności swoich osądów, choć przecież miał już wszelkie prawo do niewzruszonej pewności.

Z kolei *Spory dawne i nowe* oraz *Irytacje* prezentują tego pozornie chłodnego racjonalistę i obiektywistę z nieco innej strony. Wykazują mianowicie jego głęboko emocjonalny stosunek do wielu istotnych kwestii, nieustającą potrzebę wymiany poglądów oraz twórczą i w gruncie rzeczy konstruktywną niezgodę na ubytki rzetelności, niedostatki profesjonalizmu, brak terminologicznej i pojęciowej precyzji czy nadmierny relatywizm. I oczywiście to, że

choć mając tak stateczny wiek i tak niekwestionowaną pozycję w środowisku polskich i nie tylko polskich literaturoznawców, mógł już spokojnie osiąść na laurach, to jednak do samego końca był prawdziwie zaangażowany. I znów – nie była to tylko specyfika późnej fazy jego twórczości. Znany jest nam na przykład wydany wcześniej tom *Utarczki i perswazje*, podsumowujący niemal sześćdziesiąt lat tego nieustannego zaangażowania, niemniej – jak trafnie odnotowała Walas – jego krytyczno-polemiczna energia zintensyfikowała się wydatnie pod koniec życia. Z pewnością jednak kolejną wspinałą cechą tego wielkiego uczonego, zauważalną również w jego *Pismach ostatnich*, było zawsze coś, co nazwałabym bardzo wyostrzonym poczuciem sprawiedliwości. Komentując, czy nawet tylko referując cudze poglądy – a jako autor *Teorii powieści za granicą*, redaktor monumentalnej czterotomowej *Współczesnej teorii badań literackich za granicą* czy równie obszernej trzypięciotomowej *Sztuki interpretacji* robił to dość często – zawsze dbał o wyważenie pochwał i ocen krytycznych. Uczciwie doceniał to, co uznawał za wartość, i równie precyzyjnie, a nierzadko nawet bezpardonowo, wypunktowywał słabości.

Pod hasłem „zdziwienia” kryją się mniej lub bardziej wnikliwe i stanowcze krytyki rozmaitych recenzowanych przez Markiewicza książek lub artykułów. Czemu się dziwił? A no na przykład temu, że współcześni badacze twórczości Mickiewicza niemal całkowicie ignorują jego twórczość poetycką, największą wagę przywiązując do pierwiastków religijnych jego twórczości. Że młodzi, bo wywodzący się przeważnie z pokolenia lat 90., eksploratorzy *Lalki* Bolesława Prusa (sam był, jak dobrze wiemy, największym w Polsce znawcą tej powieści) nie dostrzegają wielu jej istotnych niuansów lub opacznie odczytują ich znaczenie, z czego wynikać mogą niezbyt trafione interpretacje ważnych miejsc utworu. Notabene, niekompetencją i brakiem uważności badaczy twórczości Mickiewicza i Prusa zadziwił się Markiewicz jeszcze parokrotnie w osobnych tekstach, co dowodzi, jak pilnie śledził to, co się na te tematy publikuje, i jak bardzo mu zależało na wytrawnym rzemiośle analityczno-interpretacyjnym. Dalej, analizując polskie wydanie jednego z najważniejszych dzieł Haydena White’a, *Proza historyczna*, zadziwił się rozmyciem pojęciowym, niefrasobliwością i mglistością wywodu tego niekwestionowanego guru współczesnych, również polskich, historiografów. Z kolei odnosząc się do dyskusji nad kanonem, toczącej się na łamach „Tygodnika Powszechnego” w 2009 roku, dziwił się brakowi precyzji terminologicznej w odniesieniu do kluczowego pojęcia, a przez to popadaniu dyskutantów w sprzeczności. Bulwersowały go wreszcie (czemu dawał wyraz w wielu tekstach pomieszczonych w tej części książki) aspekty czysto techniczne: nieudolności redakcji, a nawet korekt recenzowanych dzieł, zawarte w nich błędy merytoryczne czy warsztatowe, zawilgości stylistyczne, a nawet obfitości literówek (szczególnie stanowczo wytykał to w tekście pod wymownym tytułem *Ogrody nieplewione*).

Wybrałam tu oczywiście tylko niektóre „zdziwienia” Henryka Markiewicza, zastanawiając się jednocześnie, jaki obraz jego samego z nich się wyłania. Teksty zgromadzone w tej części pokazują bez wątpienia uczonego „starej daty” – jednak w najlepszym tego określenia znaczeniu – niemal do bólu uczciwego i precyzyjnego, wyposażonego w nieprzeciętną kompetencję i warsztat najwyższej próby, wrażliwego na nawet najdrobniejsze niuanse dzieła literackiego. Sam kwitował tę swoją postawę z właściwą sobie autoironią i poczuciem humoru, sugerując, że bardzo łatwo będzie mu przypisać „gębę pedantycznego maniaka” (s. 278), „niepoprawnego besserwissera-pieniacza” (s. 359) albo „zoila” (s. 237). Tytułował się też samokrytycznie „policjantem poprawności interpretacyjnej w badaniach literackich” (s. 237), bo – o czym dobrze wiemy – nadmierna interpretacyjna dezynwoltura raziła go niepomiernie. A jednak jeśli uważnie wczytać się w te, powiedziałabym, i tak dość łagodnie i z wielką kulturą formułowane uszczypliwości, daje się dostrzec przede wszystkim niepośledni ethos badacza literatury, który jest już dzisiaj gatunkiem niemal niespotykanym, a od którego ogromnie dużo można się nauczyć. Jego pedanteria wcale nie budzi irytacji – wywołuje raczej najgłębszy podziw. Markiewicz wielokrotnie wzmiankuje w swoich tekstach, że nikt tego (co on) dotychczas w omawianych książkach czy artykułach nie zauważył, nikt nie wypunktował. A jednak po przeczytaniu jego komentarzy niedostatki te wydają się zupełnie oczywiste i aż dziw bierze, że nie zostały wcześniej dostrzeżone.

Przy okazji jest bardzo dobrze widoczne, jak wnikliwie, rzec by można „mikrologicznie”, czytał te teksty sam Markiewicz, który swoją „uważnością” lektury mógłby zadziwić nawet Derridę i dekonstrukcjonistów... Fakt – Markiewicz nie był wielbicielem Jacques’a Derridy, ewidentnie drażniło go to, co skądinąd wywołuje też alergię nawet u jego najbardziej oddanych admiratorów – czyli zamierzona wprawdzie, lecz na dłuższą metę irytująca, zawilść wywodów. Jednak w części *Pism ostatnich* zatytułowanej *Artykuły* można znaleźć na przykład bardzo interesujący tekst poświęcony *Lalce* Bolesława Prusa (*Duże i małe zagadki „Lalki”*). Mam nadzieję, że Profesor wybaczyłby mi to określenie, ale jest to znakomita dekonstrukcyjna lektura tego dzieła, jakiej nie powstydziliby się zapewne sam Derrida. Ten tekst jest tym bardziej zdumiewający, że dotyczy jednego z najbardziej ukochanych przez Markiewicza utworów literackich. Chociaż starał się on tutaj wytłumaczyć Prusa z dostrzeżonych w jego tekście niekonsekwencji, dowodząc – inaczej oczywiście, niż zrobiliby to dekonstrukcyjniści – iż wbrew wszelkim pozorom miały one charakter intencjonalny, to jednocześnie wykazywał, że nawet ukochanego utworu nie można przyjmować bezkrytycznie oraz że nawet w tak „wyinterpretowanym” na wszystkie strony arcydziele ciągle jeszcze można znaleźć coś zagadkowego, niespójnego, a nawet niezrozumiałego, co z kolei

pozwala mu nie zastygnąć w muzealny eksponat, bo intensywnie pobudza do dalszych interpretacji. A pod tym Derrida i dekonstrukcyoniści na pewno by się skwapliwie podpisali...

Warto w tym momencie wspomnieć jeszcze o dwóch, ważnych, a może nawet dla Markiewicza najważniejszych obszarach refleksji teoretycznoliterackiej, o które najbardziej kruszył kopie, spierając się z młodszym pokoleniem badaczy, a szczególnie z tymi zafascynowanymi koncepcjami poststrukturalizmu, to znaczy o metodykę syntez historycznoliterackich oraz o problematykę tekstu literackiego i jego interpretacji. Z wielu wypowiedzi zamieszczonych w *Pismach ostatnich* daje się wydobyć jego stanowisko w tych kwestiach i chociaż poglądy Markiewicza na ten temat są raczej dobrze znane, to jednak ich ponowna lektura już z odleglejszego dystansu pozwala – przynajmniej tak było w moim przypadku – zweryfikować i nieco złagodzić zbyt mocno podtrzymywane niegdyś przekonania. Zwłaszcza w odniesieniu do najnowszych faz sporów o naturę i możliwości interpretacji. Wiadomo, że Markiewicz nigdy nie był zwolennikiem interpretacyjnej dezynwoltury, lansowanej na fali już postpoststrukturalistycznego neopragmatyzmu, i jakiś czas temu istotnie wydawać się mógł „policjantem poprawności interpretacyjnej”. Widząc jednak i wiedząc więcej niż najbardziej zagorzali obrońcy swobód interpretowania literatury, do których – nie ukrywam – sama się zaliczałam, bardzo wcześnie dostrzegał nadciągające szybkimi krokami niebezpieczeństwo doktrynalizacji – równie niepożądane, co obstawanie przy poprawności, choć opatrzone znakiem przeciwnym. Oczywiście, wywrotowość i radykalizm stanowisk neopragmatystycznych wśród młodszego pokolenia teoretyków literatury motywowane były potrzebą wyegzorcyzmowania dawniejszych „upiorów”, w szczególności zaś osławionych „kryteriów poprawności” odczytywania lub interpretowania zgodnego z intencją autorską, lecz popadanie w inną skrajność również było obciążone grzechem – skrajności właśnie. Markiewicz zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że jest na straconej, a przynajmniej mocno podważanej pozycji, niemniej bardzo dzielnie bronił swoich poglądów. Z perspektywy czasu dostrzec można jednak, że jego „krytyczny posybilizm” (s. 103) – jak sam określał swoją postawę w tej kwestii – zmierzający do znalezienia sensownego kompromisu między interpretacyjną ortodoksją i leseferyzmem, był o wiele bardziej pragmatyczny i praktyczny niż poglądy najbardziej nawet zdeklarowanych zwolenników idei *anything goes*. Markiewicz dowodził po raz kolejny swojej otwartości na nowe, ale otwartości niepozabawionej zdrowego krytycyzmu.

Ową otwartość Henryka Markiewicza na nowości, a jednocześnie troskę i pieczołowitość, jaką obdarzał przeszłość, obrazuje też tom *Pisma ostatnie*. Jak na tego rodzaju zbiór prac przystało, jest to *silva rerum* – spotykamy tu komentarze do klasycznych utworów literackich: wspomnianej *Lalki* Bolesława Prusa, *Fortepianu Chopina* Norwida, *Przedwiośnia* Żeromskiego czy *Reduty Ordon* Mickiewicza i wielu innych, mamy rozważania na tematy teore-

tycznoliterackie, teksty polemiczne i recenzje, rozmowy o krytyce literackiej czy o „Życiu Literackim” (którego Markiewicz był pierwszym redaktorem naczelnym), mamy teksty publicystyczne, wywiady i ankiety, wypowiedzi o tematyce politycznej, a nawet przemówienie, jakie wygłosił na jubileuszu swojego dziewięćdziesięciolecia. Mogłoby się zatem wydawać, że jest to – przepraszam za określenie – przysłowiowy „groch z kapustą”, ale jeśli spojrzeć na tę pozornie chaotyczną wielość, której zróżnicowanie motywowane było potrzebą zebrania pod jedną okładką pism faktycznie pozostawionych przez uczonego, to wyłania się z niej klarowny i spójny obraz myśliciela niebywale wszechstronnego, bacznie obserwującego zakręty i zawirowania wiedzy o literaturze, stale poszukującego odpowiedzi na jej najbardziej palące pytania i niestrudzenie wędrującego po ciągle zmieniającym swoje oblicze uniwersum humanistyki. Myśliciela – jak sam przyznawał – „eklektycznego”, a używając modnego w ostatnich czasach określenia, można by też powiedzieć „pluralistycznego”. Z dystansem i wręcz niebywałą zdolnością do tworzenia syntez (słynne „rzuty oka”) diagnozującego nierzadko trudną do ogarnięcia wielość opcji i postaw. Znacznie częściej jednak nastawionego na akceptację odmiennych od swoich poglądów, choć jednocześnie z mądrością badacza, który już wiele widział i wiele doświadczył, precyzyjnie weryfikującego ich przydatność i trafnie wypunktowującego mielizny. I – jak znów słusznie dostrzega Walas we *Wstępie* do książki – ostro spierającego się tylko wtedy, kiedy istotnie gra była warta świeczki. Z *Pism ostatnich* wyłania się więc obraz człowieka i badacza nieprzerwanie myślącego i piszącego, mędrca uważnie przyglądającego się swojej dyscyplinie, czasami jednak młodzieńczo nie-autorytatywnego, choć przecież będącego wielkim autorytetem.

W *Nocnej podróźniczce*, którą wypada zakończyć ten komentarz, Roland Barthes zauważał: „pisanie [jest] początkiem umierania (jakkolwiek wcześniej by się nie zaczęło)...”<sup>4</sup>. Zdanie to, o czym wspomniałam wcześniej, odnosiło się przede wszystkim do stopniowego zastygania podmiotu piszącego w litery i tym samym na ołtarzu tekstu składającego ofiarę z własnej osoby, której „żywości” (w rozmaitych, zasugerowanych poprzednio aspektach) nie da się nigdy odzyskać. W trakcie lektury *Pism ostatnich* Henryka Markiewicza nieodparcie jednak nasuwa się odczucie, że „żywość” ta nie została wcale utracona, nawet jeśli jego *écriture* przybywa do nas już z owej Barthes’owskiej „krajiny głębokiej ciszy”. Ostatnia kropka tej znakomitej ostatniej książki wcale niczego nie kończy, a wprost przeciwnie – otwiera. Jednocześnie więc (choć to banalne stwierdzenie) pisanie jest też zaczątkiem nowego życia: utrwalonym w języku świadectwem niekończącej się przygody myśli i wszystkiego tego, co jest jej tak istotnym w-cieleniem. Markiewiczowskie „zdziwienia” nadal

---

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 174.



„zadziwiają”, „spory” prowokują do dalszego spierania się, „irytacje” pobudzają do głębszego niż dotąd krytycyzmu. Wszystko to przywraca Autorowi „rzeczywistą obecność”. Obecność żywą, energetyczną i niebywale znaczącą.

Teresie Walas i wszystkim, którzy przyczynili się do powstania książki, gorąco dziękuję za to niezwykle lekturowe doświadczenie.